„King i Królik”- powrót Melchiora Wańkowicza

Rozmowy o książkach, które nie przemijają. Korespondencja Zofii i Melchiora Wańkowiczów opracowana przez Aleksandrę Ziółkowską-Boehm.



Melchior Wańkowicz i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. ach. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Uważana jest Pani za znawczynię twórczości Wańkowicza, pisarz stał się Pani „wizytówką twórczą". I mimo, że porusza Pani w swoich książkach różne tematy, takie jak np. wątki historyczne („Z miejsca na miejsce: W cieniu legendy Hubala", „Druga bitwa o Monte Cassino i inne opowieści", „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon", „Kaja od Radosława czyli historia hubalowego krzyża"), własne życie („Ulica Żółwiego Strumienia", która ma drugie wydanie, także po angielsku w Stanach Zjednoczonych), opowieści o ciekawych ludziach, Polonii kanadyjskiej i

amerykańskiej, Indianach, czy… kotach („Podróże z moją kotką” mają dwa wydania, ukazały się także w języku angielskim), to w Pani dorobku twórczym dużą i ważną część stanowią książki poświęcone tematyce Wańkowicza. Czy mogłaby by Pani je przywołać i przypomnieć, dlaczego zajmuje się Pani tym pisarzem?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Znałam pisarza jedynie dwa lata i cztery miesiące, opowiem o pierwszym spotkaniu. Często je przywołuję, pytana „jak się wszystko zaczęło”.

Jako temat pracy magisterskiej na filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego wybrałam twórczość Melchiora Wańkowicza. Po roku zbierania materiałów, napisałam do niego list. W odpowiedzi zaprosił mnie do Warszawy, wyznaczył konkretny dzień: 20 maja 1972 roku. Na spotkaniu wypytywał mnie o znajomość swoich książek, przeczytał moje „prace zaliczeniowe” na temat jego kilku książek, i… zaproponował, bym wyszukiwała materiał do książki, przy której właśnie pracował (okazała się jego ostatnią) poświęconej procesowi pisania.

A także, co było dużym zaufaniem, pożyczył mi do domu jedną z teczek swojego bogatego archiwum. Moja praca magisterska posuwała się ładnie do przodu. Co dwa tygodnie przywoziłam materiał, na tzw. fiszkach wypisywałam cytaty z wielu publikacji

– zwykle biografii różnych twórców – m.in. jak patrzą na proces tworzenia. Książkę zatytułował „Karafka La Fontaine'a", niebawem ukazał się jej pierwszy tom. Zaczął pracę przy tomie drugim.

Przed końcem studiów pisarz zaproponował mi, bym nie tylko kontynuowała pracę *researcherki*, ale bym przeniosła się do Warszawy i pracowała u niego na pełny etat jako asystentka i sekretarka. I tak zaczął się kolejny etap pracy z pisarzem.

Wańkowicz zadedykował mi swoją ostatnią książkę (konkretnie drugi tom „Karafki La Fontaine'a", a dedykacja brzmi: „Mojej sekretarce mgr Aleksandrze Ziółkowskiej, bez której oddanego współpracownictwa zapewne byłaby to znacznie gorsza książka" – przyp. J.SG), zapisał mi też w testamencie swoje archiwum.

10 września 1974 roku, sześć miesięcy po ciężkiej operacji, Wańkowicz zmarł.

Archiwum jest dotychczas w moim posiadaniu, część tzw. bibliofilską przekazałam do wrocławskiego Ossolineum, gdzie wcześniej sam pisarz przekazał część archiwum.[1]

Po śmierci pisarza napisałam książkę „Blisko Wańkowicza" (Wyd. Lit. 1975, 1978, 1988), która cieszyła się dużą popularnością, miała trzy wydania, każde ukazało się w 30-tysięcznym nakładzie

(wtedy podawało się nakład).

W 1979 roku na Uniwersytecie Warszawskim obroniłam pracę doktorską na temat Wańkowicza. Zaczęłam pisać pod kierunkiem prof. Juliana Kryżanowskiego, po jego śmierci moim promotorem była prof. Janina Kulczycka-Saloni.

Napisałam kolejne książki: „Proces Melchiora Wańkowicza 1964 roku" (1990), i „Na tropach Wańkowicza" (miała trzy – w miarę znajdywania materiałów np. z IPN – uzupełniane wydania; trzecie ukazało się pod tytułem „Na tropach Wańkowicza po latach" (Wyd. Prószyński i S-ka 2009).

Od lat piszę też książki o innej tematyce, ale zawsze pozostałam wierna tematowi Wańkowicza.

Napisałam wstęp i przypisy do Wańkowicza „Reportaży zagranicznych" (WL 1981), prowadziłam serię: „Dzieła emigracyjne i Dzieła powojenne Melchiora Wańkowicza" (Wyd. Polonia 1990–1992), opracowałam (wstęp, przypisy): „Korespondencja Krystyny i Melchiora Wańkowiczów" (Wyd. Twój Styl 1992), „Korespondencja Jerzy Giedroyć – Melchior Wańkowicz" (seria „Archiwum Kultury", wyd. Czytelnik 2000), „King i Królik. Korespondencja Zofii i Melchiora Wańkowiczów", 2 tomy (2004).

Byłam redaktorem i pisałam posłowia do każdego z 16-tu tomów serii „Dzieła Melchiora Wańkowicza” (2009-2012, wyd. Prószyński i S-ka) rozpoczętej tomem „Bitwa o Monte Cassino”. Seria obejmuje niewydane wcześniej tytuły, jak „Reportaże z Wołynia” i „Ziemia za wiele obiecana”.

W prasie opublikowałam listy z Marią Dąbrowską, Czesławem Miłoszem, Catem Mackiewiczem, jak i wiele artykułów ogólnych na jego temat. Także eseje drukowane w dwóch dużych odcinkach w angielskojęzycznym cenionym naukowym nowojorskim kwartalniku „The Polish Review”, który także zamieścił wybór listów Wańkowicza do żony.

W Stanach Zjednoczonych ukazała się „Melchior Wańkowicz Poland’s Master of the Written Word” z przedmową Charlesa S. Kraszewskiego (Lexington Books, 2013, 2017). W książce tej nazwałam pisarza „polskim Hemingwayem”.

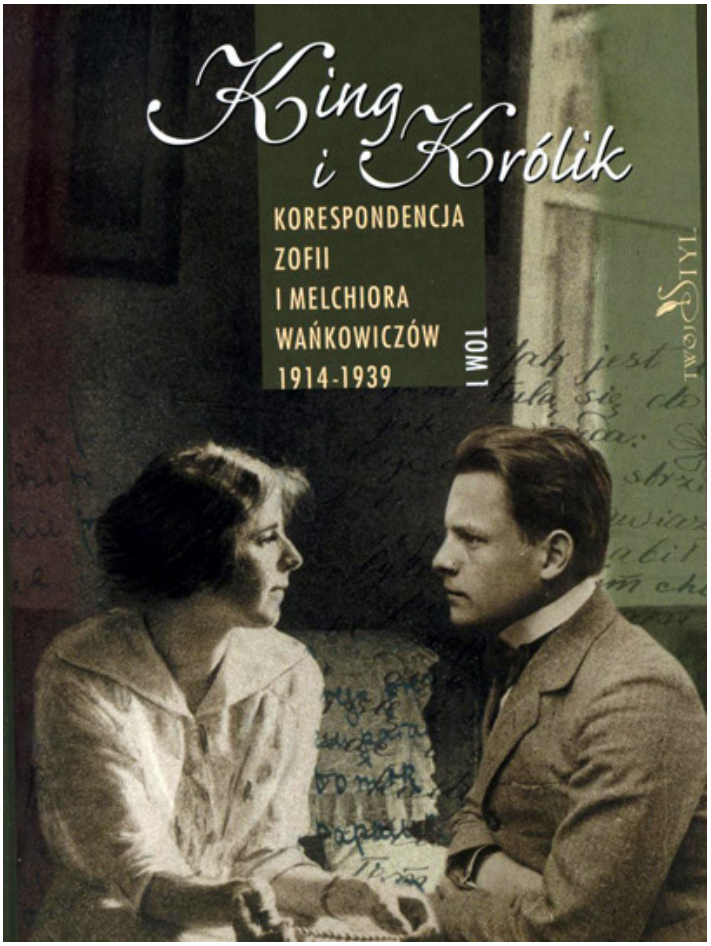
King i Królik
KORESPONDENCJA
ZOFII
I MELCHIORA
WAŃKOWICZÓW
1914-1939
TOM 1
TOM 1

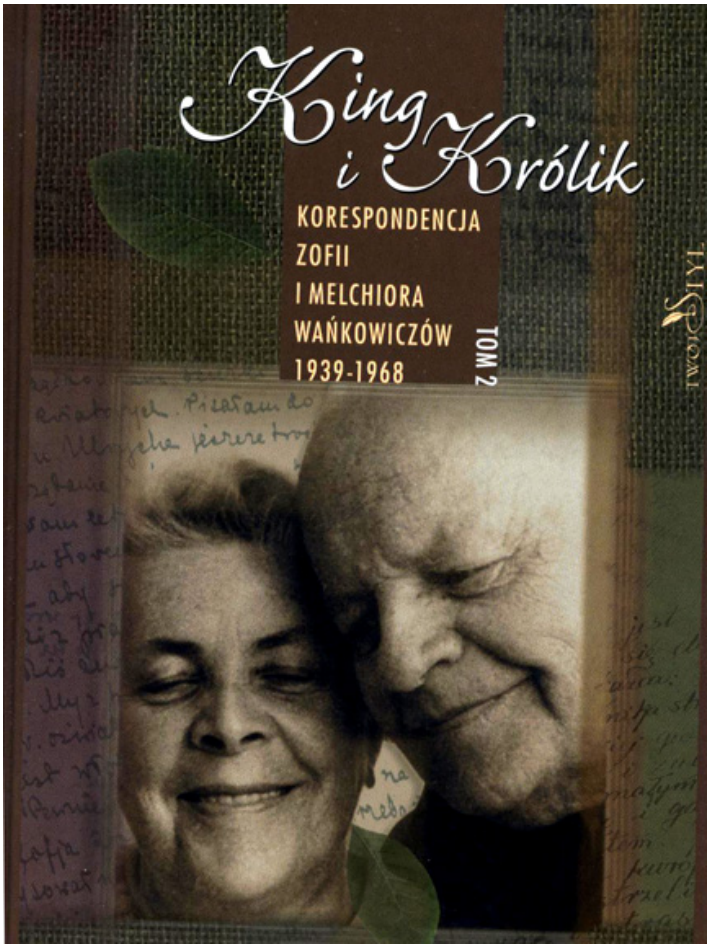

Dlaczego korespondencja Melchiora Wańkowicza z żoną Zofią, została wydana dopiero 30 lat po śmierci pisarza?

Szukałam wydawcy przez 15 lat. Podpisywałam umowy kolejno z IW PAX, Wyd. Polonia, Wyd. Prószyński i S-ka. Odkładali, rezygnowali, bankrutowali, przymierzali się do wydania skróconej wersji, mówili, że „Wańkowicz już się tak nie sprzedaje”. I chwała Wydawnictwu Twój Styl, które bez dotacji, bez pomocy, odważyło się na druk – i wydało te dwa tomy przepięknie.

Jaka jest rozpiętość czasowa tej korespondencji?

Korespondencję między Zofią i Melchiorem Wańkowiczami otwiera list Melchiora do narzeczonej z 1914 roku. Pierwszy tom obejmuje lata do wybuchu wojny, drugi kończy się na 1968 roku (pani Zofia zmarła w 1969 roku). Publikowane listy stanowią całość zachowanej korespondencji. Przeważająca większość pisana jest ręcznie.

W listach pisanych ręcznie i to przez tak długi okres czasu, mogą się zdarzyć błędy, przygotowując korespondencję do druku, wiele rzeczy trzeba też ujednolicać. Czy przy opracowywaniu korespondencji Państwa Wańkowiczów do publikacji, dużo musiała Pani wprowadzać zmian?

Od 1914 roku dwukrotnie w Polsce zmieniano zasady pisowni, sami autorzy listów też dostosowywali swoją pisownię do zmian zachodzących w ciągu lat trwania ich korespondencji. Ogólnie jednak poprawiona została pisownia i ujednolicone zapisy dat, skrótów, itd. Wszystkie te zmiany opisałam w dołączonej Nocie Redakcyjnej. Książkę poprzedza mój wstęp, kończy kalendarium życia i twórczości. I oczywiście jest mnóstwo przypisów.

Jakie informacje znajdują się w przypisach? Czy długo rozwiązywała Pani różne kryjące się w rękopiśmiennych tekstach „zagadki”?

Przypisy rosły latami. Niektóre dość wcześnie rozwiązałam, gdyż

były encyklopedyczne, do wielu musiałam szukać informacji w przeróżnych publikacjach, do innych trafiałam nieraz przypadkiem. Mam już na ten temat anegdoty. Np. w jednym z listów jest fragment, mówiący o tym, że u generała Sosnkowskiego, nad ranem śniadanie podała „gen. Kuka". Nie miałam pojęcia, kim była „gen. Kuka", a odręczne pismo Wańkowicza dobrze już znam, nie miałam więc wątpliwości, że tak właśnie napisał. – Może generał Kukiel? – podrzucali mi znajomi. – Jak to, generał Kukiel podał im śniadanie? Aż pewnego dnia moja znajoma spytała – Czy widziałaś, co ta Kuka wygadywała w rozmowie z Kowalskim?... Chodziło o generałową Sosnkowską, z którą wywiady w telewizji przeprowadzał historyk Kowalski. – Jaka Kuka? Co ty powiedziałaś? – Bo tak nazywano panią generałową – powiedziała mi znajoma.

Ostatni przypis dotyczący amerykańskiego narzeczonego Tili – córki pisarza, rozwiązałam trzy miesiące przed oddaniem książki do druku. Odnalazłam w Sarasocie na Florydzie Pawła Jeśmiana, o którym donosiła w listach ojcu i o którego pani Zofia, nie wiedząc, że Tili z nim zerwała i wyszła za mąż za Jana Erdmana, pytała – Jak się miewa Paweł, mąż Tili?

Poza tym, od ludzi pamiętających starą Warszawę dowiadywałam się różnych adresów, np. gdzie można był oddać futro na przechowanie, itd. W przypisach przywoływałam często fragmenty książek Wańkowicza, aby przybliżyć konkretną postać

i pokazać, jak ją pisarz utrwalił.

Korespondencja Melchiora Wańkowicza z żoną jest już kolejnym opublikowanym przez Panią zbiorem listów (po korespondencji Melchiora Wańkowicza z Jerzym Gedroyciem, z córką Krystyną, czy Pani własnej korespondencji z Szymonem Kobylińskim). Jak dalece ważne jest w ogóle publikowanie korespondencji, a w tym przypadku listów Wańkowicza?

Listy są zazwyczaj najdostępniejszym i najbardziej wiarygodnym materiałem badawczym. Tym bardziej, jeżeli są pisane do osoby bliskiej, przed którą nie trzeba udawać i odgrywać żadnych ról. Publikacja tej korespondencji ma duże znaczenie choćby z tego powodu, że ukazuje pisarza niejako odsłoniętego, nie ukrytego za parawanem, za wyobrażeniem, jakie chciał utrwalić o sobie i jakie nieraz propagował na użytek ogółu. W listach do żony, najbliższej mu osoby, nie stosuje auto cenzury, nie ukrywa swoich sądów, opinii. Korespondencja Wańkowicza odsłania nam pisarza, jakiego nie znamy, człowieka trapionego zwątpieniami i trudnościami, ukazuje jego przemyślenia na temat samego procesu kreacji, warsztatu pracy, ujawnia hierarchię towarzyszących mu w życiu wartości. Pokazuje jego ogromną pasję tworzenia, pracy.



Zofia i Melchior Wańkowiczowie, Sopot 1958, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Jaką tematykę obejmują te listy?

Możemy w nich prześledzić na przykład decyzje pisarza powrotu do Polski (wokół której narosło wiele legend), jego autentyczną walkę z biedą materialną, zarówno przed wojną, jak i na emigracji. Słynny Domeczek na Dziennikarskiej na Żoliborzu państwo Wańkowiczowie zdecydowali się wynająć, bo nie dawali rady ze spłatami kredytów, sami zamieszkali w wynajętym mieszkaniu przy ulicy Mianowskiego na Ochocie. Trudności

finansowe nie opuściły go także w Stanach Zjednoczonych, gdzie pani Zofia w pewnym okresie sprzątała domy.

Czy jest tam wątek kanadyjski?

Tak, pojawia się tam wiele razy wątek zarówno kanadyjski, jak i amerykański. Dojrzewanie decyzji powrotu do kraju można prześledzić w listach z 1955 roku, obejmujących okres drugiego – po pięciu latach – objazdu Kanady z odczytami w ośrodkach polonijnych, w celu zebrania materiału do kolejnej książki (Pierwsza – „Tworzywo" ukazała się w Nowym Jorku w 1954 roku) poświęconej wychodźstwu polskiemu. Sytuacja, jaką zastał w Kanadzie, była inna od poprzedniej, nie spotkał się ani z dużym oddźwiękiem, ani nawet z zainteresowaniem, co do planów i zamierzeń. Pisał do żony:

> Jeszcze nie wiem, czy będę kontynuował podróż. Sądzę, że będę się pchał, póki się da. Atmosfera jednak, która mnie spotyka, jest nie tyle atmosferą hołdu, ile zniecierpliwienia natręctwem (…). Sądziłem, że po pięciu latach będzie lepiej: ludzie czują się pewnie, poczną wracać do spraw kultury polskiej. Jest jednak inaczej (3 marca 1955).

I ciekawe zdanie (23 marca 1955):

> Pamiętaj, że jeśli się nie wydźwigniemy tu, to jedyna możność życia aktywnego pozostaje w kraju.

King i Królik, czyli Melchior i Zofia Wańkowiczowie, stanowią parę literacką utrwaloną w wielu książkach („Ziele na kraterze”, „Atlantyk-Pacyfik”, „Królik i oceany”, „W pępku Ameryki”). Jaka jest pani Zofia?

Osobowość pani Zofii rysuje się nie mniej wyraziście niż Melchiora, jest ona postacią niezwykłą. Szczególnie wstrząsające są niemal codzienne kartki pisane przez nią w roku 1940-41. W latach II wojny światowej dom Wańkowiczów na Dziennikarskiej (do którego Pani Zofia wróciła po wybuchu wojny, wynajmowała pokoje) służył jako schronienie dla zbiegłych jeńców, Anglików i Polaków, z obozów jenieckich. W szeregach patronatu nad więźniami Zofia Wańkowiczowa niosła pomoc m.in. uwięzionym na Pawiaku i w obozach koncentracyjnych.

Listy Zofii i Melchiora Wańkowiczów stanowią przykład związku dwojga ludzi, którzy przeszli razem przez życie, ludzi sobie oddanych i mających wspólne wartości.



Krystyna Wańkowicz, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.



Zofia Małągowska, późniejsza żona Melchiora Wańkowicza, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Z książek pisarza znane są także dwie córki państwa Wańkowiczów – Krysia i Tili. Jak je widzą rodzice w korespondencji?

Obserwujemy oczekiwanie na ich narodziny, ich dzieciństwo. Pani Zofia prowadzi np. „Dzienniczek Krysi" zapisując wszystkie jej powiedzonka, kolejno – dojrzewanie i młodość. Jest to przejmująca saga rodzinna, czy dla innych – „Ziele na kraterze" rozpisane w listach. Jednym z bardziej przejmujących listów jest pisany w roku, w którym Pani Zofia donosi: „Krysia, jak mówiły sanitariuszki i koledzy, zginęła 6 sierpnia, między dziesiątą, a

jedenastą rano, w niedzielę, w dzień Przemienienia Pańskiego, na Woli, wraz z całą grupą od granatnika. Kopiemy na Woli i pochowaliśmy wielu jej kolegów, ale tej grupy nie znaleźliśmy dotąd.[2] Rom zginął 1 sierpnia o dziewiątej wieczór na Mokotowie. Bisia widziana w końcu września w gestapo na Szucha, zaginęła bez wieści. Tolę Niemcy rozstrzelali pod Skierniewicami, gdy pojechał szukać wiadomości o dzieciach".

W pierwszym tomie przypatrujemy się jak te dzieci rosną, zarówno Krysia, córka Melchiora i Zofii, jak i Rom i Bisia, czyli syn i córka Tola, brata Melchiora.

Czy druk tego rodzaju prywatnej korespondencji nie jest rodzajem wścibstwa?

Niewątpliwie tak, ale w przypadku Melchiora Wańkowicza jest to wścibstwo uzasadnione, mamy bowiem do czynienia z pisarzem, którego życie stanowi pasjonujący reportaż. Jego bohaterem jest sam pisarz przywołujący sens ludzkiej przygody. I sam pisał o swojej rodzinie w książkach.

Co na książkę mówiła żyjąca rodzina Melchiora Wańkowicza?

Prawnukowie Wańkowicza (ich rodzice, Ania Erdman i Tadeusz Walendowski zmarli w 2004 roku) wychowani zostali w Stanach

Zjednoczonych. Starszy, Dawid, z którym mam kontakt, od lat mieszka w Polsce. Napisał mi, że nie mógł być na warszawskiej promocji w grudniu, bo był za granicą.

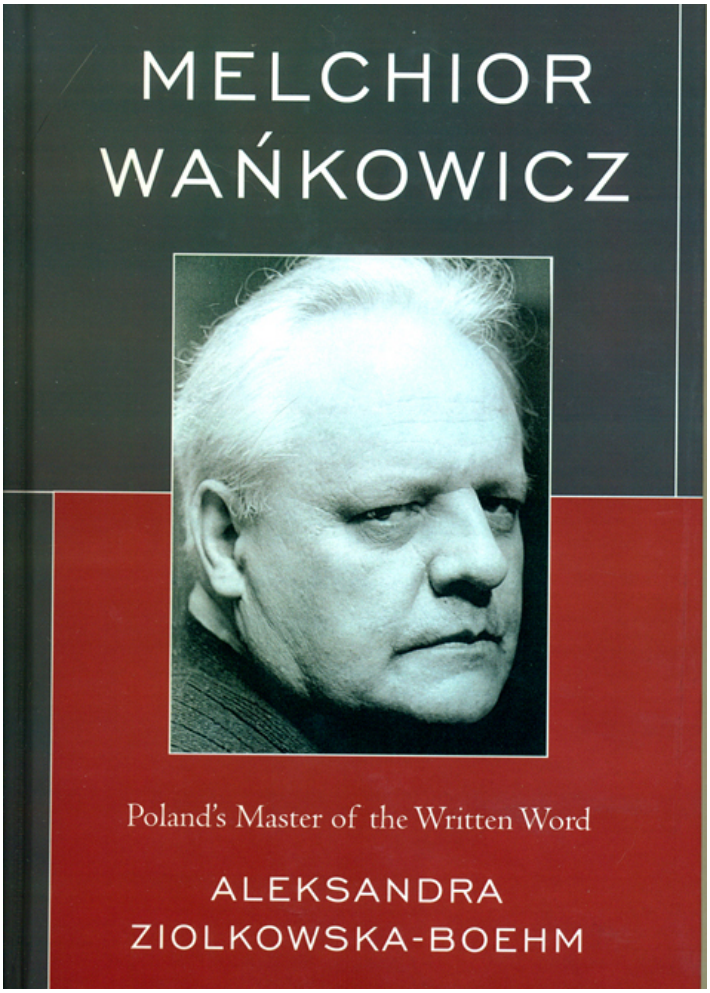

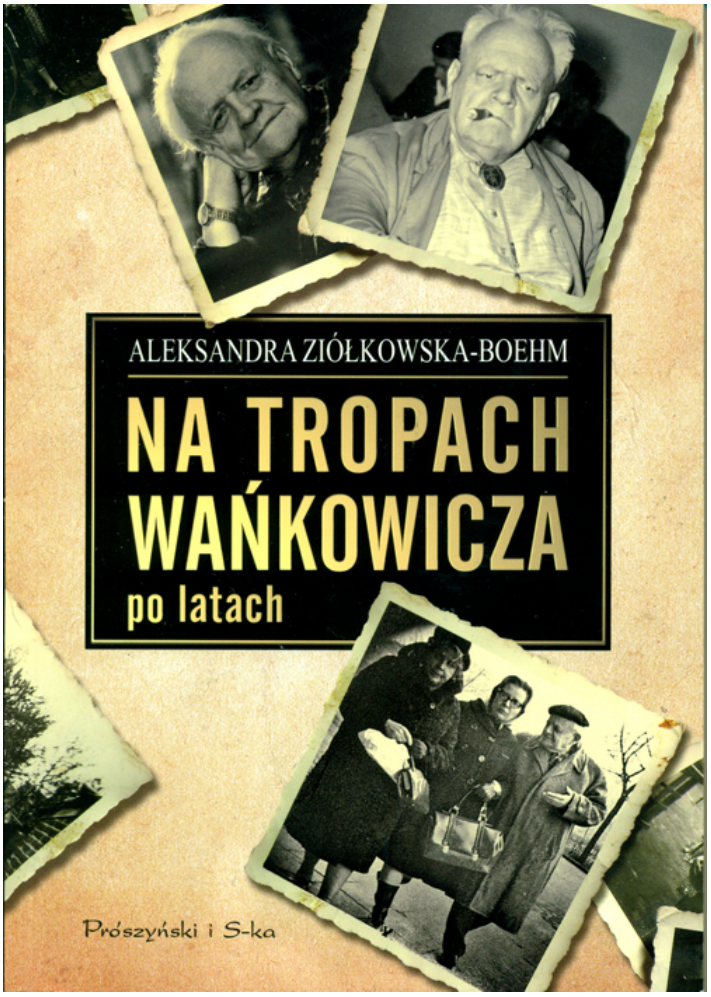

Gdzie i kiedy miała miejsce promocja i jak wyglądała?

Promocja książki odbyła się 15 grudnia 2004 r., w Wyższej Szkole Dziennikarstwa im. Melchiora Wańkowicza w Warszawie przy ulicy Nowy Świat 58. Największa sala Szkoły wypełniona była po brzegi. Przyszło wielu znakomitych ludzi. Głos zabrał m.in. legendarny mecenas Stanisław Szczuka, obrońca w wielu ważnych procesach (prowadził kiedyś tzw. proces taterników). On był wykonawcą testamentu pisarza. Spotkanie prowadził znakomity krytyk literacki, Krzysztof Masłoń. Fragmenty książki czytali znani aktorzy Krzysztof Wakuliński i Anna Romantowska.

Czy były odgłosy w prasie?

Wydanie tych dwóch tomów nazwano wydarzeniem literackim, w radiu i telewizji dużo mówiło się o tej książce, w programie TV „Z górnej półki" (prowadzonym przez Tadeusza Górnego) była nadana rozmowa ze mną. W popularnych dziennikach pojawiły się dość szybko recenzje. „Rzeczpospolita" kolejnego dnia po promocji dała duże omówienie, „Życie" zamieściło obszerny wywiad ze mną, w „Gazecie Wyborczej" Marek Radziwon nazwał Wańkowicza jednym z najwybitniejszych polskich pisarzy XX wieku. Pojawiły się recenzje w miesięcznikach literackich, takich jak „Nowe Książki" i inne. Patronatem medialnym książkę objął m.in krakowski „Tygodnik Powszechny".

Od lat walczy Pani o dobre imię Melchiora Wańkowicza. Kiedy pojawiają się artykuły wynikające z przekłamania i powtarzania niesprawdzonych informacji, zawsze staje Pani w obronie pisarza.

Pojawiały się artykuły np. w szanowanym Biuletynie IPN – krzywdzące i niesprawiedliwe wobec pisarza upraszczające sprawy, wyciągające pochopne wnioski.

Cieszę się, że np. opracowując „Listy Wańkowicza z Jerzym Giedroyciem" w swojej własnej z nim korespondencji, prowadzonego dialogu, pod wpływem szczególnej perswazji,

zmienił swój wstęp – na serdeczniejszy i sprawiedliwszy w stosunku do pisarza (mam pełną dokumentację naszej wymiany listów i pierwszy wstęp)

Dzięki Pani Mielchior Wańkowicz jakby nie umarł, jest w jakimś sensie nieśmiertelny. Co to dla Pani oznacza?

Pisanie na temat twórczości i życia Wańkowicza jest moim swoistym obowiązkiem, a także długiem wdzięczności wobec pisarza, który mnie, wtedy młodej bardzo osobie, zawierzył swoje archiwa. Mijają kolejne lata od jego śmierci w 1974 roku. Opublikowanie korespondencji było swoistym powrotem pisarza. Oby jak najszerszym. Dla mnie to ogromna radość i satysfakcja.

„King i Królik. Korespondencja Zofii i Melchiora Wańkowiczów", opracowanie, wstęp i przypisy Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Twój Styl, Warszawa 2004.

Przypisy:

[1] Pamiątkową część, np. gabinet Wańkowicza wraz z księgozbiorem- córka pisarza Marta Erdman – przekazała do

Muzeum Literatury w Warszawie, gdzie jako stałą ekspozycję otwarto gabinet Wańkowicza (obecnie znajduje się w filii Muzeum w Aninie pod Warszawą).

[2] W książce “Druga bitwa o Monte Cassino i inne opowieści” (Iskry, Warszawa 2014) zamieściłam rozdział „Ostatnie dni Krystyny Wańkowiczówny – opowieść „Gryfa””. Janusz Brochwicz Lewiński „Gryf” opowiedział mi o Krystynie, jak zginęła i gdzie ją pochował.



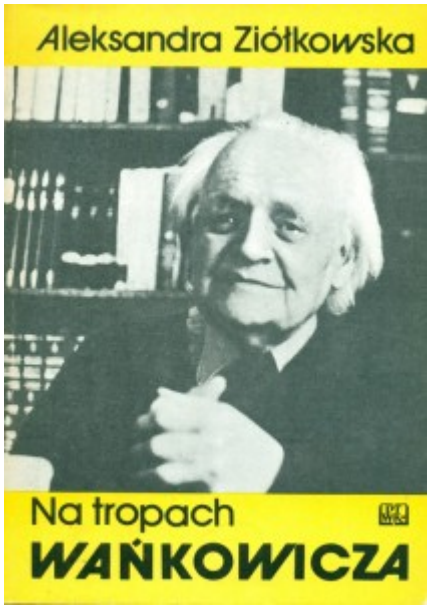
Aleksandra Ziółkowska
Na tropach
WAŃKOWICZA

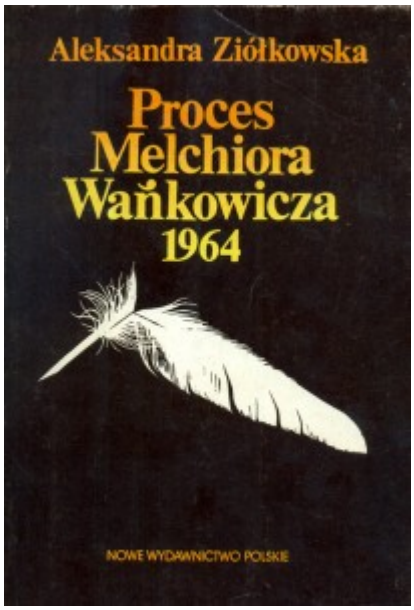
Aleksandra Ziółkowska
Proces
Melchiora
Wańkowicza
1964
NOWE WYDAWNICTWO POLSKIE



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, doktor nauk humanistycznych, pisarka. Od 1990 roku mieszka w Wilmington w stanie Delaware w USA. W latach 1972-1974 była asystentką i współpracowniczką Melchiora Wańkowicza oraz redaktorką jego dzieł. W latach 1977-81 pracowała w Redakcji Repertuaru Teatru TVP. Stypendystka m. in. Oxford Language Centre w Oksfordzie, Ministerstwa Kultury Ontario, Fundacji Kościuszkowskiej, amerykańskiego Sekretariatu Stanu, Fulbrighta.

Jest autorką wielu książek, m.in.: „Blisko Wańkowicza", „Na tropach Wańkowicza po latach", „Dreams and Reality", „Z miejsca nam miejsce", „Moje i zasłyszane", „Kanada, Kanada", „Nie tylko Ameryka", „Amerykanie z wyboru", „Ulica Żółwiego Strumienia", „Nie minęło nic, prócz lat" (korespondencja z Szymonem Kobylińskim), „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon",

„Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego Krzyża", „Druga bitwa o Monte Cassino i inne opowieści", „The Roots Are Polish", „Podróże z moją kotką", „Senator Stanley Haidasz A Statesman for All Canadians" (Montreal 2014).

W Stanach Zjednoczonych ukazały się: „Open Wounds – A Native American Heritage" (2009), przedmowa: Radoslaw Palonka; "On the Road With Suzy: From Cat to Companion" (2010); "Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising" (2012, 2014), przedmowa: Bruce E. Johansen; "The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come" (2013, 2015), przedmowa: Neal Pease; „Melchior Wańkowicz Poland's Master of the Written Word" (2013, 2017), przedmowa: Charles S. Kraszewski; "Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald and Postwar England" (2013, 2017), przedmowa: Matt DeLaMater; „Ingrid Bergman and Her American Relatives" (2013); "Love for Family, Friends, and Books" (2015); "Untold Stories of Polish Heroes From World War II" (2018), przedmowa: James S. Pula.

„Noc” i inne wiersze z Wilna



Aleksander Lewicki

Aleksander Lewicki

Wielokulturowe jest społeczeństwo, w którym żyję i wieloma językami muszę mówić na co dzień… Jestem Polakiem z Kresów i moje serce jest na wskroś polskie! Moje skomplikowane i trudne życie rozdziera mnie na co najmniej trzy kraje. Po przesunięciu granic terytorium polskiego w stronę zachodnią, moje polskie korzenie z racji urodzenia, zostały na Białorusi, miasto Wilno na Litwie dało skromny dom, w języku rosyjskim musiałem się kształcić… Razy za polskość dostaję do dziś… Języka ojczystego nauczyłem się sam i takiż On jest: starodawny, przez niedouczenie chropowaty, ale jakże kochany, serdeczny, najpiękniejszy! Żyję samotnie i całe życie szukam miłości tej prawdziwej, jedynej. Czasem wydaje mi się, że doganiam – ale to tylko cień… Posiadam jednak Skarb wielki, Skarb głębokiej wiary w Boga Stwórcę Jedynego. Upadam i wstaję podnoszony Jego Zbawczą Ręką. Wszystko wytrzymałem i wszystko z Nim wytrzymam… Chciałem grać – nie dano, chciałem lepić – wyśmiano, chciałem wyżej się kształcić – trudy życia i władza nie pozwoliły dokończyć studiów. Poezji i polskiego myślenia nikt mi z serca nie dał rady wyrwać… Dzięki Ci Boże za ich ocalenie!!! Tak żyłem i tak umrę…

> Noc, Ty śpisz…tylko gdzie…

A ja błąkam się w ciemności tej

Szukając błękitnej ścieżki księżyca…

Uporczywie szukam, bo sen

Gdzieś uciekł, może do Ciebie…

Niepokój duszy prosi o coś innego…

Zawieszony na szyi krzyżyk

Na srebrnym łańcuszku

Wbija się w moje ciało,

Chce coś powiedzieć, wykrzyczeć…

A duch już odnalazł drogę

I siedzi na rożku księżyca…

Razem z nim zagląda

Do niezasłoniętych okien,

Przenika ludzkie zmysły,

Rozkoszuje w ludzkich ciałach…

Lecz tęsknota nie da za wygraną

Wbija się w serce i żal bierze…

Za ludzki los, co sypie się

Jak ten piasek przez ręce –

Nie nadążamy jego zbierać…

A jak chce się być wolnym!

Tylko z czego…

Pustka i cichość…

Księżyc wędrując, ubóstwia ziemię,

Bo gdzież może doznać tyle rozkoszy?

W ludzkich uczuciach – Miłości i Śmierci…

(2013-11-20)

Przychodzę opowiedzieć

O…

Bajce, która śpi za górami,

Gwiazdce – pragnącej Miłości,

Chmurce – zakochanej w księżycu,

Słońcu, co nie poznało Radości…

Kwiatku – straconym na polu,

Pieśni – smutnego słowika,

Złowrogim rozsianym kąkolu,

Wiatru, co gra swą muzykę…

Płaczu – samotnej dziewczyny,

Biedzie – prostego chłopaka,

Pragnieniu – młodej leszczyny,

Prośbie raka – biedaka…

Listku, co jest zagubiony,

Trawie – skoszonej, zdeptanej,

Łabędziu, co jest zagrożony,

Wodzie – lanej, przelanej…

Rzece – pragnącej wolności,

Duchu i losie człowieka,

Jak wyzbyć się grzechu zazdrości,

O duszy, co tęskni i czeka…

(2014-03-10)

Chodzę ulicami

Cudzej duszy

Mokro od łez…

Ogołocone, rozszarpane

Domy uczuć…

Rozbite nocne lichtarze marzeń,

Kołyszą się samotnie brzozy słów

Nie dano im zaistnieć…

Znienacka z ciemności

Niewyzbytych snów

Słyszę szept… ten ostatni –

Pomocy, Ratunku, Miłości…

Dusza nie pyta o zgodę

I otwiera swoje ulice,

Żeby oświecić i ogrzać,

Prosto kochać i być…

Bo Miłość nie zna praw…

(2013-11-21)



Wilno nocą, fot. pinterest, sphotos-a.xx.fbcdn.net.

Aleksander Lewicki – urodził się 18 lutego 1959 roku na terenie obecnej Białorusi w katolickiej polskiej rodzinie. Ukończył 10 klas szkoły białoruskiej z nauczaniem w języku rosyjskim. Ojczystego języka w piśmie nauczył się sam. W swojej rodzinnej wsi Bojary był jedynym dzieckiem mówiącym po polsku i wielokrotnie poniżany za polską mowę. Od roku 1976 roku do dziś mieszka w Wilnie. Zaliczył 3 lata Wileńskiej Politechniki. Ciężka finansowa i rodzinna sytuacja spowodowały przerwanie studiów. Zawsze czuł potrzebę pisania. Posługuje się w mowie i

piśmie czterema językami (polskim, rosyjskim, białoruskim i litewskim).

Przez wiele lat pełnił funkcję przewodniczącego ”Klubu Sławianskaja Gostinnaja”, potem konferansjera w ”Klubie Rosyjskiej Inteligencji Miasta Wilna” i v-ce prezydenta Klubu ”Desiderija”. Poeta jest również organizatorem spotkań literackich ludzi pióra z Macierzy na Litwie. Od roku 2011 współpracuje z Sekcją Literacką MTK, czego owocem są tłumaczenia na język rosyjski i białoruski polskich poetów. Współpraca z ”Nacionalinė Knyga” przyniosła tłumaczenie wiersza litewskiego poety na język polski.

Aleksander Lewicki wielokrotnie występował w kraju (Warszawa, Siedlce i inne) oraz tam gdzie żyje – na Litwie, a także na Białorusi, o czym pisano w prasie.

Wydał w Polsce trzy tomiki poezji. Dwa w języku polskim wydało SGGW w Warszawie: „Wiersze wybrane” 2003 r. i „Głos z Kresów Wschodnich” 2006 r. Trzeci „S lubowjiu k Wam… Wasz Aleksander Lewicki” w języku rosyjskim, wydało Mazowieckie Towarzystwo Kultury. Złożony został do druku kolejny tom wierszy w polskim języku.

<u>Najważniejsze nagrody:</u>

- W 1995 r. pełnił dyżury przy grobie ks. Jerzego Popiełuszki w Warszawie. W 2004 r. odznaczony został medalem „20 –lecia Służby przy Grobie”.
- 1996 r. – laureat konkursu literackiego w Białymstoku.
- 2001 r. – laureat VIII Międzynarodowego Konkursu Poetów Emigrantów (Floryda – USA).
- 2014 r. – Pierwsza nagroda Konkursu Literackiego im. Jana Kochanowskiego w Czarnolesie i Barcinie.
- 2014 r. – w Wilnie z rąk Pani Senator Barbary Borys-Damięckiej odebrał medal „Za Zasługi dla Mazowsza”.
- 2015 r. – z rąk Pani Wiceprezydent Anny Sochackiej m. Siedlce otrzymał odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (podpisała Pani Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego Małgorzata Omilanowska).

Czekam na cud. Jan

Darowski (1926-2008).



W drukarni Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie, od lewej: ksiądz Jerzy Sikora, Czesław Bednarczyk i Jan Darowski, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

Jan Darowski był jednym z najciekawszych młodych polskich

poetów londyńskich w połowie ubiegłego wieku. W późnych latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych brał istotny udział w kształtowaniu i uświetnianiu pism młodych: "Merkuriusza", a później "Kontynentów". Jako oryginalny poeta i wnikliwy krytyk wnosił świeże, odkrywcze spojrzenie, niebanalną myśl, wiele serca oraz gruntowną znajomość warsztatu drukarskiego.

Kiedy Czesław Miłosz cytował w "Tygodniku Powszechnym" jego wiersz *Post mortem,* komentował:

> Żaden tak gorzki i okrutny wiersz nie został napisany w Polsce

i dodał:

> czytelnicy krajowi nie znają ani nazwiska Jana Darowskiego, ani wielu nazwisk poetów piszących poza krajem.

Darowski był także znakomitym tłumaczem. Może Miłosz przypomniał sobie w roku 2003, jak świetnie kilkadziesiąt lat wcześniej przełożył jego wiersze na język angielski? Zauważył to dawno temu Aleksander Janta, który w liście do wydawcy kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy", Czesława Bednarczyka,

napisał:

> Gratuluję numeru. Darowskiemu zwłaszcza Miłoszowskiej wkładki. Czesław (sądzę, że miał na myśli Miłosza – FS) powinien się puszyć. Bardzo dobre wiersze: poeta w poetę.

Za najlepszego tłumacza na język angielski uważał Darowskiego także Kazimierz Wierzyński.

Do przekładania Darowski podchodził niezwykle sumiennie i poważnie. Kiedyś tłumacząc jeden z moich tekstów skarżył się na kłopoty z nim.

> Intencja tego wiersza jest dla mnie wciąż niejasna, a póki tego się nie wie, albo nie zgadnie, to nie ma co marzyć o śmiałym, rzetelnym przekładzie tj. w sensie prawdy ducha, a nie litery.

Twierdził też, że:

> …tłumacz musi wiedzieć dużo, dużo więcej niż autor, który często nie zna (nie musi znać) źródeł swych inspiracji i dróg, którymi doszedł do wyrazu. Tłumacz musi je znać,

> tj.wytropić lub trafnie odgadnąć.

Jan Darowski urodził się w 1926 roku w Brzeziu koło Raciborza na Górnym Śląsku. W Anglii pracował jako drukarz, a później jako kontroler w fabryce broni. Związany z grupą młodych poetów publikował wiersze i prozę w miesięcznikach "Merkuriusz Polski", "Kontynenty", w kwartalniku "Oficyna Poetów i Malarzy" oraz paryskiej "Kulturze". Opublikował dwa zbiory poezji *Drzewo sprzeczki* (Londyn 1969) oraz *Niespodziewane żywoty* (Londyn 1990). Nagrodzony został na konkursie im.Tadeusza Sułkowskiego w 1968 roku.

Mało zabiegając o druk i nie wysuwając siebie stoicko akceptował dolę i niedolę pisania na emigracji w niedopolszczonym, odciętym od pnia języku. Nie miał złudzeń co do wagi literatury we współczesnym świecie, któremu poeta nie potrafił oferować zdobyczy równych osiągnięciom elektroniki, astrofizyki czy medycyny.

Niekiedy próbowałem podrzucić mu interesujące artykuły i książki. Dziękował mi, ale odkładał je na później. Odmawiał doraźnego czytania. Lękał się interferencji. Bał się, że każda książka zostawia ślad. Chciał pisać tylko z autopsji.

Jednym z tematów poruszanych przez młodych Polaków,

przebywających na emigracji w Londynie wobec panującego w Polsce komunizmu, było przyjęcie języka angielskiego za język swojej twórczości. Zastanawiali się nad zrezygnowaniem z polskiego. Dobre opanowanie języka angielskiego oraz przykład starszych kolegów, jak Jerzy Pietrkiewicz, kazały marzyć o możliwościach bardziej ambitnych, o dwujęzyczności.

Darowski wtedy napisał artykuł "Nieobecność i kara". Kazał w nim odrzucić wszelkie takie mrzonki. Wołał:

> W jakim społeczeństwie jesteśmy dostatecznie obecni, aby móc być jego nie tyle prawdomównymi, co autentycznymi świadkami. Do Polski należymy przez język i z konieczności przeżywamy jej sytuację historyczną jako serię abstrakcyjnych pojęć, jako sytuację zasadniczo językową. Nasze obcowanie ze społeczeństwem brytyjskim jest „obcowaniem" głównie w tym sensie, że jesteśmy sobie wzajemnie obcy. Mówimy dobrze po angielsku, co nie znaczy, że oni nas są w stanie zrozumieć i odwrotnie.

I dodał dobitnie:

> Aby działać w społeczeństwie brytyjskim, trzeba nam było pożegnać się z polskim podwórkiem, zatkać uszy na jego

> gwar, tłumić w sobie celowo i systematycznie wszystkie atawizmy z niego pochodzące, przynajmniej do czasu zapuszczenia korzeni w nowym społeczeństwie. Albo trzeba było wrócić do Polski… Bez wspólnego języka z Anglią i bez wspólnej treści z Polską – żegnaj nasza prozo.

Darowski był jednym z najciekawszych młodych poetów londyńskich, którzy w połowie ubiegłego wieku pojawili się na horyzoncie emigracyjnym. W pierwszym tomiku głosił:

Klucz też ma swoje chóry

> jeśli go wrzucić w dość głęboką studnię
>
> i o nim zapomnieć
>
>
>
> śpiewa wtedy zatopione pieśni Atlantis
>
> i piękny jest
>
> i jego żurawie wracają

Tak jak wielu emigrantów wojennych nie pojmował rosnącego pędu Polaków do opuszczania Polski. Dziwiły go ich pretensje do kraju i narodu. Emigracja żołnierska nie opuściła ojczyzny z powodu koniunktury i pustych sklepów w Polsce. Biedowała i tęskniła, czuła rozłąkę, chciała wrócić, a nie do pomyślenia było gremialne pragnienie, by stać się cudzoziemcem.

Jako jeden z niewielu nie odwiedził po wojnie swoich rodzinnych stron. Najpierw na przeszkodzie stały różne sprawy osobiste, potem przeszkadzały problemy zdrowotne. Kiedy się z nimi uporał, zaczął starać się o polski paszport, by w 1993 r. wybrać się do Brzezia. Plany te udaremnił ciężki udar i inne poważne dolegliwości, kazały mu pożegnać się z myślą o wizycie. Odwiedziny siostry odnotował nieco szorstko jako koniec tęsknoty do przeszłości.

> I tak jej nie ma, prócz w mojej głowie, gdzie lepiej żeby została. Tam może jeszcze coś twórczego z niej wyniknąć. Nie ma sensu konfrontować przeszłości z teraźniejszością. Teraźniejszość niewiele na tym zyskuje, a przeszłość wszystko traci. To wszystko, co jest w niej dynamiczne, zapładniające wyobraźnię.

Spytałem go, czy nie tęskni do swojej małej ojczyzny, do Górnego Śląska, czy nie inspiruje jego wierszy. Odpowiedział, że z myślą o

swoich stronach pisze, ale nie wedle kanonów pisania wierszy regionalnych.

> Może kiedyś, gdy zupełnie przeminie tamten kopalniano-hutniczy świat i stanie się legendą.

I wskazał na wiersz *Powroty*.

> Kto to są ci, którzy „o'Eos różanopalcej" nie słyszeli nigdy. Jeśli nie widzisz tu „prostych ludzi", hut, kopalń, trudów i śmiertelnych niebezpieczeństw w codziennym życiu, tej starości na działce podmiejskiej czy w wiejskim ogródku, tych niespełnionych marzeń i przegranych lat, to co możesz tam widzieć? Ja myślałem o naszych ludziach, którzy szli do kopalń i fabryk polnymi drogami, latem czy zimą, pieszo, po kilkanaście kilometrów, o ciężkich szychtach, sześć dni w tygodniu między Scyllą chłodu i Charybdą głodu sześć dni w tygodniu, „Ścięgnami przywiązani do swych kręgosłupów", ich dzieci w uszach miały wosk przeciwko wszystkim zewnętrznym pokusom i nawet szeptom wewnętrznym, by nie tracić odwagi, nie poddać się, do końca trzymać się trudnej, życiowej drogi, ginąć w walących się sztolniach, a gdzie indziej od wylewających się hutniczych pieców strumieni żelaza. Bo takie było już u nas życie… Wziąłem

> odważnego i cierpliwego Odyseusza na katalizatora tych uczuć i epicki język Homera sam się w to wsunął. Bo w jakim języku miało to być wyrażone?
>
> Ale dla mnie życie naszych ludzi było bardzo (bo bezwiednie) heroiczne: język, który się temu narzucił zupełnie mi odpowiada. Nie czuję w nich fałszu ani nawet przeciągania. Dlaczego nasz wschodni hreczkosiej może zasługiwać na epicki język, ale nasz górnik nie? Nie wszystko w Homerze jest o bogach i herosach. Pulsują też życiem w jego heksametrach zwyczajni ludzie: służba, rybacy, rolnicy. I nie są mniejsi dla mnie niż ci szlachetni tam zabijacy.

Darowski pamięta swojego polonistę ze szkoły powszechnej, który otwarł jego głowę na świat twórczego słowa. Jemu i matce, o której powie, że była bardzo religijną kobietą, tylko szkołę podstawową ukończyła, ale nie spotkał w życiu ani mądrzejszej, ani bardziej kulturalnej. Im najwięcej z wszystkich ludzi duchowo zawdzięczał. Oświadczył również:

> Wiersze brzesko-górnośląskie i prozę pisywałem, pisuję i będę pisywał zawsze, bo ten świat jest moim kamieniem probierczym wartości wszystkiego w życiu, szczególnie w polskim.

Złe zdrowie z czasem zaczęło ograniczać wiele jego aktywności. Także naszą korespondencję. W ostatnim liście napisał:

> Otóż jakiejś nocy wpadłem do jakiegoś głębokiego dołu i leżę na dnie. Gdzieś wysoko nade mną dzieje się życie i nawet słyszę czasem moje imię. Ale cóż z tego. Trzymam się za pokaleczony łeb i słucham nieustannego w nim szumu, od którego nie ma nigdzie ucieczki. I czekam na cud.

Tego cudu wszyscy mu życzyliśmy przez dziesięć lat. I on też miał nadzieję.

Nagrody Literackie

Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.



Libor Martinek, fot. Wikimedia Commons.

W 67. roku istnienia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy

Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie, jury (w składzie: przewodniczący Andrzej Krzeczunowicz – Warszawa; ks. prof. Janusz Ihnatowicz – Houston, TX, USA; ks. prof. Bonifacy Miązek – Wiedeń; dr Adam Wierciński – Opole; dr Aleksandra Ziółkowska-Boehm – Wilmington, DE, USA) uprzejmie zawiadamia o przyznaniu następujących nagród za rok 2018:

Nagrodę za upowszechnianie kultury i literatury polskiej przez pisarza mieszkającego poza Polską otrzymuje prof. Libor Martinek.

Czeski polonista, historyk literatury, krytyk literacki, poeta, wykładowca literatury czeskiej na Śląskim Uniwersytecie w Opawie i we Wrocławiu, założyciel Pracowni Komparatystyki Literackiej, tłumacz z polskiego, angielskiego i ukraińskiego. Doktorat z literatury czeskiej (2000), doktorat z literatury polskiej (2005). Autor 15 książek naukowych w języku czeskim i polskim oraz ponad 120 rozpraw, esejów i artykułów o tematyce polskiej w czeskich i polskich pismach fachowych. Pisał między innymi o Sarbiewskim, Mickiewiczu, Morcinku, Gałczyńskim, Różewiczu, Szymborskiej, Lipskiej. W recenzji wydawniczej monografii *Henryk Jasiczek* prof. Bogusław Bakuła (Poznań) napisał:

> Libor Martinek jest obecnie jednym z najlepszych znawców

> literatury i kultury polskiej w Czechach, a także czesko-polskich relacji kulturalnych, w tym zwłaszcza literackich. Zapomniany w Polsce Henryk Jasiczek, zresztą nie on jeden, jeśli spojrzeć na stan wiedzy literaturoznawczej dotyczącej chociażby twórczości Władysława Sikory, Wilhelma Przeczka, Gustawa Przeczka, Jana Pyszki i wielu innych pisarzy regionu, był postacią o wymiarze historycznym i dramatycznym również.

Libor Martinek to to przede wszystkim badacz ukształtowanych w procesach historycznych odrębności Ziemi Cieszyńskiej, badacz rzetelny, niestrudzenie podejmujący etos polskich nawarstwień, aby ocalić w tym regionie od zapomnienia te wartości, które są przecież wspólnym dobrem kultury.



Jacek Hajduk, fot. Instytut Filologii Klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Nagroda im. Władysławy Majewskiej za najlepszą książkę roku 2017 dotyczącą literatury emigracyjnej przypadła zbiorowi esejów *W rejony mroku* Jacka Hajduka (Wojnowice 2017). Składa się na nią 30 szkiców literackich powiązanych w całość czytanym na wiele sposobów jednym utworem *Dziennikiem pisanym nocą* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Autor próbuje dowieść, a czyni to z dużą znajomością rzeczy, że literatura polska, ani krajowa ani emigracyjna, nie wydała

> utworu który by dorównał Herlinga-Grudzińskiego „portretowi epoki z autoportretem w rogu wielkiego obrazu" albo go przewyższył.

Z przekonaniami autora można, co oczywiste, dyskutować, ale jego podróże w czasie, znajomość literatury nie tylko polskiej, ale włoskiej i rosyjskiej imponują czytelnikowi. A z jaką swobodą porusza się Hajduk po starożytnym Rzymie i Rzymie współczesnym. Czytelnik nie zawsze musi się zgadzać z wywodami autora, ale zachowuje podziw i wdzięczność za tyle odczytań znakomitego pisarstwa Herlinga-Grudzińskiego, i czasem powtarza za Hajdukiem że

> sile jego pióra zawdzięczamy wielowymiarowy i wielopoziomowy, wyrazisty i zniuansowany obraz człowieka »wieku ideologii«. A nie można zapominać, że „Dziennik pisany nocą" jest przecież tylko jedną z wielu odsłon Herlingowego Dzieła.

Jacek Hajduk jest filologiem klasycznym, tłumaczem, eseistą, prozaikiem, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Napisał wiele szkiców naukowych i literackich oraz kilka książek, m.in. *Pliniusz Młodszy* (2012), *Fantazje mimowolnego podróżnika* (2016). Mieszka w Krakowie.

Wręczenie nagród odbędzie się w maju 2019 w Warszawie podczas 10. WTK.

Pomyłka



Klasztor kamedułów na Jeziorze Wigry, dziedziniec, fot. wikimedia commons.

Florian Śmieja

Do kamedułów na jeziorze Wigry zjechali się naukowcy i literaci, dziennikarze i działacze kultury, by spotkać się i porozmawiać na ciekawe tematy. To tam w końcu poznałem profesora Jana Błońskiego, jednego z laureatów nagrody dla najlepiej zapowiadających się młodych krytyków polskich, których nagrodziliśmy w Londynie w 1957 roku. (Oprócz niego nagrody otrzymali także: Zygmunt Kubiak, Andrzej Kijowski oraz Marian Pankowski).

Tam też stałem się bohaterem zabawnego nieporozumienia. Nie wiedziałem, że jestem podobny do Ryszarda Kapuścińskiego. Na Wigrach czekało na niego kilka osób znających go tylko z fotografii. Kiedy nie zjawiał się, zaczęli krążyć koło mnie i zagadywać. Koniecznie chcieli zrobić ze mną wywiad. Opierałem się i znajdywałem różne wybiegi. Ale trwała sytuacja niewyjaśniona.

Aż w końcu zjawił się Ryszard Kapuściński. Zainteresowani odskoczyli ode mnie jak niepyszni. Mówiłem mu później, że mnie wzięli za niego i nie mogłem się przed nimi opędzić. Kapuściński wypracował sobie pozycję szczególną, a różni pomniejsi chcieli się choćby kąpać w jego blasku i mieć dowód, że otarli się o wybitność, że będą się mieli kim pochwalić.

Wróciliśmy pociągiem do Warszawy. Kapuściński szczęśliwy siedział sam w przedziale. Zdawał się rozkoszować

nieobecnością pasożytów.

Nota bene, reportaże Kapuścińskiego cieszyły się i nadal cieszą wielką popularnością wśród czytelników. Oby zwracali oni także uwagę na jego zatroskanie o ambiwalentne przejawy współczesnego życia. Chwała mu za uwagę:

> Rosnące bogactwo środków technicznych, elektroniki, wszelkich światłowodów, satelitów, kompaktów i laserów, a jednoczesne zubożenie treści, monotonia, ogłuszająca nuda.

Realizm i magia. Rozmowa

o literaturze iberoamerykańskiej.



Florian Śmieja w Starych Siołkowicach – miejscu urodzenia matki, fot. arch. F. Śmiei.

Beata Tarnowska:

Jest pan nie tylko poetą, tłumaczem, ale również byłym profesorem iberystyki na *University of Western Ontario* w

Kanadzie oraz z racji wykonywanego zawodu znawcą literatury hispanojęzycznej. Czy podróżując po Ameryce Łacińskiej miał pan okazję poznać pisarzy tego kręgu kulturowego?

Florian Śmieja:

Poznałem Mario Vargasa Llosę, Alejo Carpentiera, Jorge`a Luisa Borgesa…

Czy zetknął się pan z Gabrielem Garcią Marquezem?

Niestety, nie. Natomiast poleciałem do Cartageny w Kolumbii, gdzie dwudziestoletni Marquez otrzymał przed laty pracę dziennikarza i reportera. Byłem w redakcji dziennika „El Universal", w którym pracował. Znalazłem się więc w miejscu, z którego autor „Stu lat samotności" czerpał inspirację do swojej twórczości – był bowiem zbieraczem i rekonstruktorem faktów. Jak sam powiadał, właśnie to zbieractwo, fantazja i umiejętność przekształcania autentycznych wydarzeń spowodowały ogromne bogactwo jego dzieła. Niezwyczajny czar kryje się w geograficznych nazwach kolumbijskiego wybrzeża: Cartagena, Barranquilla, Aracataca, Riohacha… Podobnie jak Homer czy Dante, Marquez właściwie nie precyzuje, nie dopowiada do końca, gdzie się urodził. Ale zarazem mógł chyba tylko tam się urodzić, na swojej „ziemi świętej"… Może jest to część mistyfikacji, którą niektórzy uważają za niezbędny element

kreowania własnej sylwetki?

Które z powieści z kręgu prozy iberoamerykańskiej szczególnie Pan ceni? Czy mogą one – Pańskim zdaniem – dorównać „Biblii realizmu magicznego" czyli „Stu latom samotności" Marqueza?

Nie wiem, czy przypomnę sobie dokładne nazwy polskich przekładów… Kalina Wojciechowska przetłumaczyła utwór Alejo Carpentiera „Podróż do źródeł czasu". Uważam, że to jest znakomita powieść. Tam pokazana jest próba cofania się. Byłem w Wenezueli i trochę przyglądałem się krajobrazowi. Jest to, oczywiście, ogromny kraj, ale wystarczy na przykład znaleźć się w Caracas, pojechać jeszcze sto kilkadziesiąt kilometrów do jakiejś miejscowości i wejść do wiecznie zielonego lasu, aby mieć pewne pojęcie o przyrodzie, o ziemi, która rozpościera się dalej na południe, i przechodzi w sawanny, tzw. *llano*, czyli równiny, przez które płynie rzeka. Tą rzeką trzeba wstępować w górę i cofać się w czasie… Obok Carpentiera należy koniecznie wymienić Argentyńczyka Ernesto Sabato…

… autora powieści „Bohaterach i grobach".

Bardzo popularna jest też jego krótka powieść „Tunel". Potem Julio Cortazar…

W latach 70. i 80. eksperymentalna „Gra w klasy” Cortazara była w Polsce niemal kultową powieścią ówczesnego pokolenia. Podobnie zresztą jak proza realizmu magicznego, ukazująca świat poprzez pryzmat prekolumbijskich wierzeń. „Zachłyśnięcie się” tą literaturą, będące w pewnej mierze rodzajem antidotum na szarą rzeczywistość ówczesnej epoki, jest już chyba sprawą przeszłości. Późniejsze pokolenie młodych czytelników wolało czytać Williama Whartona.

Cóż robić? Szkoda, bo była to jednak inna, wielka literatura, świadcząca o tym, że Ameryka Południowa dojrzała, doszła w powieści do szczytów artyzmu. Powinniśmy wymienić tu jeszcze Carlosa Fuentesa; kilka jego powieści kwalifikowałoby się do tego kanonu.

I oczywiście, jeszcze jest Juan Rulfo, autor jednej właściwie powieści „Pedro Paramo”, zaliczanej do arcydzieł literatury światowej. W Polsce – mimo znakomitych przekładów – prawie nieobecny.

Bardzo dobrze znam okolice, w których urodził się Juan Rulfo i które stanowią tło jego powieści. Jest to Colima nad Pacyfikiem, jeden ze stanów Meksyku. Podróżowałem tam wiele razy. Autobusami, które jeżdżą szesnaście godzin, bez wody, w tłumie ludzi – męczyłem się, bo chciałem koniecznie napisać o

*cristeros**[1]***. Wielokrotnie rozmawiałem z ich byłymi przywódcami, wtedy już wiekowymi. Rulfo także wspomina te oddziały, częściowo ze względu na swojego ojca, który zginął w czasie rewolucji. Wydarzenia z tamtego okresu do dzisiejszego dnia stanowią w historii Meksyku sporny i wstydliwy problem dla obu stron, i dla państwa, i dla kościoła. Hierarchia kościelna ugięła się bowiem, paktowała… A wojna była niezwykle krwawa. Posiadam fotografię, na której rządowi żołnierze trzymają odrąbane głowy *cristeros*… Niestety, nie pozwolono mi o tym pisać. Temat był ideologiczny, a wtedy, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wszystkim rządziła lewica, i każdy nie-lewicowy temat „ubijano" nawet w Kanadzie, gdzie zamieszkiwało sporo Meksykanów. Żeby więc jakoś usatysfakcjonować swoje plany, których nie mogłem zrealizować, przetłumaczyłem powieść meksykańskiego pisarza Jesusa Goytortua „Zadumana", z 1945 roku. Jest to tzw. powieść popularna, z wyeksponowanym wątkiem romansowym, obfitująca w niezwykłe wydarzenia i niespodziewane zwroty akcji. Czyta się ją znakomicie, ale co najistotniejsze – przedstawione w niej zostało tło wojen religijnych przełomu lat dwudziestych w Meksyku.

Czy podczas swoich podróży po Meksyku spotkał Pan Juana Rulfo?

Chodziłem śladami Rulfo. Mój znajomy poeta i tłumacz, Jan Zych,

mieszkający w stolicy Meksyku, wskazał mi kawiarnię, w której Rulfo często bywał. Chodziłem do tej kawiarni, ale niestety, nigdy nie udało mi się tego pisarza spotkać. Zmarł w 1986 roku.

W powieściach realizmu magicznego fascynująca jest dla nas przede wszystkim odmienność kulturowa, na którą składają się m.in. ukryte pod powierzchnią chrystianizmu – elementy prekolumbijskich wierzeń. Takie na przykład, jak wiara, że śmierć stanowi przedłużenie życia, a grzechy są wędrującymi bytami… Czy zetknął się Pan z przejawami minionych kultur?

Meksyk jest ogromnym krajem i w jego oddalonych zakątkach utrzymują się jeszcze prekolumbijskie wierzenia. Ale z pewnością nie w pobliżu wielkich miast, jak Meksyk czy Guadalajara. Można jednak podać przykłady społeczności indiańskich, które nie znają języka hiszpańskiego, bo żadne wpływy kulturowe do nich nie dotarły. Indianie ci żyją w takim odosobnieniu, że nie ma żadnych dróg, którymi można by do nich dotrzeć; jedyną możliwością pozostaje lot helikopterem. Niedawno odkryto na Jukatanie piramidy, o których nikt nie słyszał, które nieznane były nawet Hiszpanom. Dżungla wszystko przykryła, i potomkowie Kolumba nigdy nie postawili tam stopy… Odwiedziłem kościół San Juan w miejscowości Chamula w prowincji Chiapas, tuż przy granicy z Gwatemalą (ten sam Chiapas, w którym wybuchło powstanie Indian). Jest to kościół

„niby-katolicki”, albowiem przechowuje jeszcze wiele pogańskich zwyczajów. Zamordowano w nim turystę, który wszedłszy do środka, natrząsał się z zachowania tubylców. Przychodzili oni do tego kościoła całymi rodzinami, posypywali „świętą trawą” podłogę, na której siadali, jedli obiady, dawali jedzenie duchom, pili, palili świece – słowem, urządzali „dziady”. Takich „niby-katolickich” świątyń jest oczywiście w Meksyku więcej; a jednocześnie Kościół nie walczy z pozostałościami dawnych religii, uważając zapewne, że lepsze „coś” niż nic… To właśnie byłby przykład – znanego mi z autopsji – „extremum”, ale już na granicy świata rozumianego przez nas, chrześcijańskiego.

Marquez w jednym z wywiadów przekonywał, że wszystko, co zawarł w „Stu latach samotności” zakorzenione jest w realnej rzeczywistości: deszcz żółtych kwiatów, duchy zmarłych błądzące po domu, wniebowstąpienie pięknej Remedios…

Powiedzieć, że pewnego dnia dziewczyna zaginęła, by później pojawić się w miasteczku, gdzie jest bufetową albo gorzej – niedobrze brzmi. Natomiast obraz dziewczyny unoszącej się w powietrze, w łopocie prześcieradeł – jest niewątpliwie piękny. Marquez napisał kiedyś, że do ósmego roku życia wiódł bardzo bujną egzystencję – tyle rzeczy mu się wydarzyło… A potem? Już mało. I co tu jest prawdą, a co jest mistyfikacją? Co dorzucili inni?

W jednym z wywiadów opowiadał też, jak po śmierci pułkownika Buendii, bohatera swej najważniejszej powieści, zamknął się w pokoju i przez dwie godziny płakał… Granica pomiędzy realnością i fikcją staje się więc płynna, umowna…

Kiedyś z Polski pozdrowiłem e-mailem sekretarkę dziekana w Ontario słowami „czekamy na wiosnę, wnet przylecą bociany". Odpowiedź brzmiała: „a bocian to jest ptak miejski, czy wiejski, i skąd on ma przylecieć?" Okazuje się, że to, co dla nas jest codziennością, dla innych stanowi egzotykę. Jeśli jakiś pisarz wykorzystałby na przykład obraz przylatujących bocianów w powieści, i powieść tę przeczytaliby, powiedzmy, Eskimosi, mogliby zakrzyknąć: „ależ to jest realizm magiczny, nie z tej ziemi!" Ameryka Południowa posiada jeszcze nie tylko obszary dziewicze, nietknięte ludzką stopą, ale i zjawiska, które w literaturze mogłyby z łatwością przeistoczyć się w elementy „rzeczywistości cudownej". Na przykład motyle, które wracają do Meksyku całymi chmarami (między innymi, z Kanady). Zdarzają się chmury motyli tak wielkie, że potrafią zaćmić słońce. W pewnym momencie staje się ciemno, bo przelatują motyle. Natomiast kiedy w Kanadzie przelatują kaczki, Amerykanie przez trzy dni mają perturbacje samolotowe: wszystkie radary szumią, ponieważ miliony kaczek leci. Nie trzeba zatem wiele, aby podobne zdarzenia przekształcić w literaturze w coś bardzo cudownego, a jednocześnie rzeczywistego.

Jak Pan ocenia te książki Marqueza, które pojawiły się po „Stu latach samotności”? Światowym bestsellerem była „Miłość w czasach zarazy”.

Moja miłość pozostała przy „Stu latach samotności”. Później Marquez zbierał to, co nie weszło do tej powieści. Na samym początku pisarskiej kariery posiadał wielki zwój papieru, rulon fantastycznej prozy, z której wyłoniły się aż trzy osobne powieści. Cięcie mogło nastąpić w dowolnym miejscu. Jemu było jednak żal tego, co odpadło. A skoro wątek erotyczny zawsze ludzi interesuje…

„Kronika zapowiedzianej śmierci”, która powstała po „Stu latach samotności” (chociaż oparta była na faktach, dużo wcześniejszych) jest również niezwykłym opowiadaniem…

Jestem przyzwyczajony do tego rodzaju pesymistycznej, ciemnej atmosfery, istnieją bowiem precedensy w literaturze hiszpańskiej. Na przykład ostatni Noblista hiszpański Camilo Jose Cela, a przedtem Pio Baroja, który pisał podobnie pesymistyczne, ciemne i trudne książki, i w jakimś sensie był uważany za mistrza, i przez Hemigway’a z jednej strony, i przez Celę z drugiej. Sam umarł ubogo, szaro… Za życia powiadał: „jestem zbyt biedny, żeby nie pisać; muszę z czegoś żyć, więc piszę. Gdybym miał pieniądze, to bym nie pisał”. A poza tym to wszystko powraca do nurtu realistycznego, pikarejskiego, który

w tradycji literatury hiszpańskiej jest bardzo mocno zakorzeniony. Natomiast ludzie spoza tego kręgu kulturowego odczuwają to niezwykle dobitnie. Mówiąc o Celi, użyłem słowa „turpizm"; Hiszpanie mają słowo „tremendismo" od przymiotnika „tremendo" (straszliwy, upiorny, niesłychany). Najdziwniejsze może było to, że ten prąd powstał po wojnie domowej, kiedy ludzie w Hiszpanii zaczęli się już nieco bogacić. Jak zasiadali wieczorem do kolacji (a jada się tam kolację, jakieś dwie godziny przed północną), wówczas radio nadawało kolejne odcinki mrożących krew w żyłach powieści Celi. Żeby „burżujów" trochę podrażnić…

Nie odbierałabym jednak powieści Marqueza – mimo fatum ciążącego niezmiennie nad ich powieściowym światem – jako mrocznych i pesymistycznych. Proza Juana Rulfo jest z pewnością o wiele bardziej mroczna, bo jest pozbawiona tego elementu humoru, czy „ironii magicznej", który cechuje styl autora „Stu lat samotności". To świat jakby wstrząsany deszczem, straszliwy i niespokojny…

Sądzę, że to wynika z osobowości tego pisarza. Marquez natomiast bawi się literaturą.

…a osobowość Juana Rulfo ukształtowało cierpienie, jakiego doznał w dzieciństwie: utrata obojga rodziców, bieda…

Poza tym w Meksyku śmierć wydaje się wszechobecna, „łatwo dostępna", wszędzie widziana. Przecież kiedy Meksykanie celebrują dziady, to dosłownie wszyscy idą na cmentarz, siedzą tam, piją. Z drugiej strony, istnieje tak charakterystyczne dla kultury tego kraju – prześmiewanie się ze śmierci, łagodzące, być może, jej okrucieństwo. Wystarczy spojrzeć na cukierki, w kształcie czaszki czy kościotrupa.

Właśnie. Natomiast dla autora „Miłości w czasach zarazy" – „to nie śmierć, ale właśnie życie nie ma granic"… Czy nurt realizmu magicznego uznaje się za bezpowrotnie wyczerpany?

Nie można przesadzać w niczym. Literatura Ameryki Łacińskiej jest inna, i dlatego zafascynowała nas swoją innością. Natomiast podawanie tych samych rzeczy po raz drugi i trzeci, przez „małych mistrzów", trąci trochę uzusem.

Realizm, aby mógł pozostać realizmem, odzwierciedlającym rzeczywistość, nie może przecież wpisywać się w istniejące już od dawna konwencje. W trakcie naszej rozmowy wspomniał Pan o swoim przekładzie meksykańskiej powieści „Zadumana". Tłumaczył Pan, obok wielu innych powieści oraz sztuk, także utwory poetów hiszpańskich i arabskich. Na uwagę zasługuje szczególnie dzieło hiszpańskiego Noblisty Juana

Ramona Jimeneza „Srebroń i ja”. Wydaje mi się, że ten poeta, podobnie jak Rulfo, pozostaje w Polsce nie doceniony.

Juan Ramon Jimenez był znakomitym poetą, lirykiem. Trudności z przełożeniem jego utworów są ogromne i to one skazują go na niedostateczną popularność poza granicami języka hiszpańskiego. Za to jego urocza proza poetycka „Srebroń i ja” podbiła cały świat i fascynuje prawdziwych miłośników literatury.

Jakie są Pańskie plany przekładowe?

Powinniśmy byli, jak sądzę, wspomnieć także o moim przekładzie ważniej powieści meksykańskiej „Los de abajo”, którą wydało Wydawnictwo Literackie pod tytułem „Gniew”. Jest to prototyp tzw. powieści rewolucyjnej, gatunku prozy o niesłabnącej żywotności, gdyż można do niego zaliczyć także powieść Carlosa Fuentesa „Śmierć Artemia Cruz”. Mariano Azuela w 1915 roku wydał jej pierwowzór wplatając do jej wątku osobiste wspomnienia, gdyż służył jako lekarz pod jednym z watażków w pierwszej fazie walk rewolucyjnych.

Aby zaznajomić się z topografią walk opisywanych w powieści, zjeździłem lokalnymi autobusami okolice San Jose de los Lagos, a stamtąd pojechałem do Zacatecas. W Wydawnictwie Wacława

Bagińskiego we Wrocławiu wyszedł mój wybór legend i listów literackich hiszpańskiego pisarza i poety romantycznego Gustavo Adolfo Becquera w wersji dwujęzycznej. W planach jest przekład aforyzmów siedemnastowiecznego jezuity hiszpańskiego. Ale przyszłość jest zawsze bardziej lub mniej zakryta.

_____

[1] *cristeros* – meksykańscy powstańcy katoliccy, głównie chłopi, walczący w latach 1926-1929 oraz 1934-1937 przeciw antyklerykalnym rządom liberałów w obronie wiary, praw i przywilejów kościoła katolickiego.

Wywiad pochodzi z książki: Beata Tarnowska, Wokół Kontynentów. Szkice i rozmowy z poetami, wyd. Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, 2011 r., s. 186-194.

Życie za lejkę



Wilno, okolice Ostrej Bramy, fot. Jan Bułhak, Muzeum Narodowe w Gdańsku.

Romuald Mieczkowski

Trudno powiedzieć, kiedy to było. Najprawdopodobniej w 1943 roku. Po tym, jak zmarła matka Walentyny Skarżyńskiej, pamięć zatarła szczegóły. Nie wiadomo też, jaka była pora roku. Może lato, coś jednak podpowiada, że jesień.

Ojciec Walentyny, Wilhelm Skarżyński, był znanym w Wilnie fotografem. Przy ul. Wielkiej, koło kina „Helios”, miał własną pracownię i atelier, do którego przychodziła śmietanka towarzyska – ludzie ze świata artystycznego, a w szczególności panie, gdyż był to niezwykle przystojny mężczyzna, wrażliwy na piękno, w szczególności kobiece.

Znajdywał się akurat w okolicach pracowni, niedaleko ul. Szklanej, kiedy z getta pędzono kolejną partię Żydów do Ponar. Wilnianie zdążyli już przyzwyczaić się do podobnych widoków, odprowadzali skazańców w milczeniu, litościwym wzrokiem, pełnym bezsilności. Żydzi odbywali swą ostatnią podróż też ze spokojną pokorą. Po prostu szli. Godnie. Jak nie na sąd ludzki, tylko ostateczny. Z nadzieją jedynie na cud – w sercach tlić się mogły bardzo nikłe jej iskierki na ocalenie.

Chyba to było w południe. W każdym razie nie później – ze względu na drogę, jaką Żydzi mieli przebyć do Ponar, a jeszcze potrzebny był czas na przeprowadzenie „operacji”.

Jak i inni, fotograf Wilhelm Skarżyński, patrzył na snujący się ku swej zagładzie korowód. O czym myślał? Może o zdjęciach… Jako dokumencie tragedii. Naraziłby się tym oprawcom. Więc tylko patrzył. Wzrok w szarym i złachmaniałym tłumie wyłonił nagle kogoś, kto zwrócił jego szczególną uwagę. Była to kruczowłosa piękność, wysoka, szczupła, wyraźnie górująca nad tłumem, z

dumnie podniesioną głową.

Tak piękna dziewczyna, idąca na śmierć!? Postanowił działać. Wreszcie udało się mu dogadać z jednym z policjantów. Transakcja niezwykle prosta – dziewczyna za aparat fotograficzny. Zainteresowany lejką z głębi korowodu miał podprowadzić kandydatkę na ocalenie na bok szeregu i na zakręcie ją z niego wypchać – wprost na Skarżyńskiego. Po pełnej niepokoju chwili, na zakręcie i rozwidleniu ulic rzeczywiście doszło do wymiany. Konwojent błyskawicznie przewiesił przez ramię aparat fotograficzny, zaś Skarżyński ujął za rękę dziewczynę, zmieszał się w tłumie, po czym szybkim krokiem poprowadził wyrwaną ze szponów śmierci do domu. Na ulicę Wąwozów, tuż obok Szkaplernej. Żeby znaleźć się na Lipówce, musieli minąć Dworzec Kolejowy i przejść przez tory.

Musię Bursztejn z początku ukrywano w piwnicy. Potem została przyjęta do rodziny Skarżyńskich. Nie była zachwycona tym Tatiana, żona Wilhelma. A to z powodu urody „krewnej" męża. Dobrze znała jego wcześniejsze skłonności do zgrabnych pań i po prostu była zazdrosna. Pobyt Musi w ich domu dla sąsiadów był tajemnicą poliszynela.

Po pewnym czasie Wilhelm wychodził z ocaloną nawet na miasto. Jakoś dotrwała razem do końca wojny. Potem mężczyzna załatwił dla młodej Żydówki wszystkie niezbędne papiery, łącznie z

dowodem osobistym z narodowością polską. Jako Polka z falą pierwszych repatriantów wyjechała prawdopodobnie do Gdańska i zatarł się po niej wszelki ślad. Przed wyjazdem w dowód wdzięczności, jako jedyna spadkobierczyni w swej rodzinie, u notariusza zapisała na Skarżyńskich okazałą kamienicę w Śródmieściu. Pochodziła z bogatej rodziny kupieckiej. Walentyna odnalazła w domowym archiwum „Wyciąg z ksiąg metrykalnych o Żydach, urodzonych w m. Wilnie w roku 1919". Z dokumentu, wydanego 16 czerwca 1939 roku, dowiadujemy się, iż Musia Bursztejn urodziła się 15 czerwca według daty chrześcijańskiej i 17. – według daty żydowskiej, tegoż roku. Jej ojciec – Bohusławski – mieszczanin Hirsz, syn Chaima, Bursztejn; matka Golda-Basia (ten wyraz trudno odczytać), córka Mowszy. W dokumencie napisano: „Starostwo Grodzkie Wileńskie stwierdza zgodność tekstu polskiego z odpowiednim zapisem w księdze metrykalnej, znajdującej się w Starostwie". Podpisał wicestarosta Wacław Jeśmian, „wyciąg" zatwierdził rabin Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Wilnie, zaś jeszcze raz, 24 maja 1940 roku, inny rabin – z polecenia władz litewskich.

Na drugiej stronie „wyciągu" znalazł się następujący dowód wdzięczności Musi za uratowanie:

> Ja niżej podpisana, Musia Bursztejn, córka Horsza i Goldy Bursztejnów, niniejszym oświadczam, iż z tytułu

> zaciągniętego przeze mnie długu u pana Skarżyńskiego Wilhelma w kwocie 1000 (jeden tysiąc) rubli rosyjskich (carskich) w złocie, przelewam tytułem własności na nieruchomość moją, położoną w Wilnie, przy ulicy Kucharskiej nr 4.

To oświadczenie nie zostało potwierdzone notarialnie, brakuje też podpisów świadków. Wygląda na to, że robione było w pośpiechu, bez większej nadziei na odzyskanie i przekazanie jej innej osobie.

Przyszły czasy niemniej tragiczne. Wilhelm Skarżyński w 1945 roku w biały dzień został zastrzelony niedaleko swego domu. Nie jest tajemnicą, iż do tego przyłożyło się NKWD – jako fotograf zbyt dużo znał ludzi, posiadał znajomości z tymi, którzy pozostawali w kręgu intensywnych dociekań sowieckiego aparatu wywiadowczego i represyjnego. Niewykluczone, iż był zaangażowany politycznie.

W jego pracowni fotograficznej zamieszkał potem funkcjonariusz NKWD. Kiedy po śmierci męża Tatiana udała się, żeby zabrać rzeczy osobiste Wilhelma, nowy gospodarz wyrzucił ją za drzwi. Człowiek ten pozostawał w tym mieszkaniu, w jednym z najpiękniejszych zakątków Wilna, przez długie lata po wojnie, aż do emerytury i śmierci. Skarżyńska spotykała go wielokrotnie na

ulicy. Z początku rzucał złośliwe spojrzenia, z biegiem lat zaczął opuszczać głowę, nie poznawać kobiety i jak najszybciej przechodzić obok. Miała więc podejrzenie, że człowiek ten w jakiś sposób był związany ze śmiercią Wilhelma.

Walentyna, która opowiedziała mi tę historię, urodziła się w latach wojny i zna ją tylko z opowieści. Nie tyle matki Rosjanki wileńskiej i obywatelki Polski, co sąsiadek. Zapamiętały jej ojca, jak i Musię, mieszkająca w Wilnie Katarzyna Siekierska, Ewrosija Kogan, Zina Borysowa. Tatiana nie była skora do przypominania historii Musi. Zapewne zniszczyła wszystkie jej zdjęcia. Gdzieś w rodzinnym archiwum były inne dokumenty. Zawieruszyły się w ciągu lat? Jeśli się odnajdą, może coś więcej można będzie dowiedzieć się o dziewczynie, której życie ocaliła lejka. Tylko, kto się tym zajmie?

A ona sama ocalona za lejkę – gdzie jest? Czy pozostała w Polsce pod przybranym (i jakim) nazwiskiem, czy też mieszka w jakimś dalekim zakątku świata? Może i wysyłała listy, tylko kiedy nie było wśród żywych Wilhelma, zazdrosna żona mogła je zniszczyć.

Jak i wszystkie dowody istnienia Musi Bursztejn.